

LEKTOR: Audycje Kulturalne – w dobrym tonie.

MAGDALENA MISZEWSKA: **Dzisiaj w Audycjach Kulturalnych spotykamy się z Janem Błaszczakiem, dziennikarzem muzycznym i autorem książki "The Dom. Nowojorska Bohema na polskim Lower East Side". Dzień dobry.**

JAN BŁASZCZAK: Dzień dobry.

MAGDALENA MISZEWSKA: **Spotykamy się w kawiarni w warszawskim Śródmieściu, ale zastanawiam się, czy pod kątem tematu, o którym będziemy rozmawiać, nie powinniśmy wybrać jakiegoś innego miejsca, np. późnej nocy w jakimś klubie. I gdybyśmy na taki klub się zdecydowali, to gdzie go szukać? Gdzie spróbować oddać, może w Warszawie, chociaż trochę tę atmosferę, albo jakiś klimat, który mógł towarzyszyć bywalcom klubów nowojorskich, o których zaraz będziemy rozmawiać?**

JAN BŁASZCZAK: Właśnie niestety wiele takich miejsc, które chciałbym wymienić już nie istnieje w Warszawie, bo pewnie zacząłbym od Pardon, To Tu, potem może przeszedł przez Powiększenie czy przez Eufemię, ale rzeczywiście to są miejsca, które już nie działają i to też pokazuje, że takie miejsca jednak nie za bardzo radzą sobie w dzisiejszych czasach, że jednak ekonomia wypiera takie lokale działające gdzieś tam na obrzeżach kultury, w kontrkulturze, gdzieś dalej. Może Pogłos byłby takim miejscem, ale to coś pomiędzy Pogłosem a SPATiF-em. W sensie, że troszeczkę bardziej eleganckie niż Pogłos może, ale jednak trochę mniej świecące niż SPATiF.

MAGDALENA MISZEWSKA: **W przypadku klubów, o których mówimy ważna jest też okolica. Lower East Side w latach 60. w Nowym Jorku to było miejsce dosyć specyficzne. Czy można to w jakikolwiek sposób odnieść, nie wiem, czy do rzeczywistej warszawskiej Pragi, czy może do legend, które na temat tej warszawskiej Pragi krążą?**

JAN BŁASZCZAK: Myślę, że można by to odnieść do warszawskiej Pragi, chociaż może nawet nie tyle legendarnej, co takiej Pragi sprzed paru lat. Bo jednak Praga też dość szybko się gentryfikuje ze względu na swoje położenie chociażby. Ale myślę, że jeszcze tak 10-20 lat temu to mogła być taka namiastka Lower East Side. Ja myślę, że w każdym mieście, w takim dużym mieście w Polsce znaleźlibyśmy taką dzielnicę. Czy to będzie Nadodrzde we Wrocławiu, czy to będzie Wilda w Poznaniu. Mamy właśnie takie dzielnice położone w miarę centralnie, owiane jakby złą sławą, ale też zmieniające się pod wpływem artystów, którzy tam mieszkają.

MAGDALENA MISZEWSKA: **I skoro wiemy już, gdzie jesteśmy, to możemy przejść do głównych tematów książki, chociaż nie jedynych, ale to się okaże w trakcie naszej rozmowy. W książce "The Dom" szukasz śladów po dwóch polskich klubach, które w latach 50. i 60. działały właśnie na Lower East Side w Nowym Jorku. Łączy je osoba właściciela Stanleya Tolkina. Kiedy pierwszy raz zetknąłeś się z tym nazwiskiem i co sprawiło, że posunąłeś się do przeprowadzenia śledztwa, żeby napisać książkę na temat tego człowieka, która potem okazała się książką o jeszcze**

paru innych sprawach?

JAN BŁASZCZAK: Wszystko zaczęło się od muzyki tak naprawdę. Ja od lat, już ponad 10, opisuję, mówię o muzyce bardzo różnej. Jednym z takich moich ulubionych zespołów od samego początku była grupa Velvet Underground z Lou Reedem, Johnem Calem i przez pewien czas Nico, i czytając książkę "Please kill me" Gillian McCain i Legs McNeila, zresztą fascynującą książkę, wspaniałą doprawdy, trafiłem w niej na rozmowę Nico właśnie z Andym Warholem i sama treść rozmowy nie jest kluczowa, ale to, co mnie zaciekało w niej najbardziej, to takie dopowiedzenie autorów, gdzie ta rozmowa się odbywała. Odbywała się właśnie w nowojorskim klubie The Dom. I zaciekało mnie to, dlaczego w Nowym Jorku istniał klub, w który grywał jeden z moich ulubionych zespołów w historii, który nazywał się no tak właśnie. I chciałem sprawdzić czy "dom" to jest rzeczywiście słowo w języku polskim, czy po prostu jakiś zlepek liter, które nic nie znaczą. No i okazało się, że rzeczywiście jest to nawiązanie do Narodowego Domu Polskiego, który funkcjonował przez lata pod tym samym adresem. I tak po nitce do kłębka dowiedziałem się, że właścicielem tego lokalu był Stanley Tolkin. Stanley to oczywiście Stanisław. Bardzo mnie to zainteresowało z różnych powodów. Jakby, tym pierwotnym była muzyka Lou Reeda i jego zespołu, a w dalszej kolejności były też jakieś takie związki Polonii z amerykańską kontrkulturą, które dla mnie, jakby, nie istniały wcześniej, znaczy, nie wyobrażałem sobie, nie myślałem w ogóle o tym. Miałem zupełnie inny obraz amerykańskiej Polonii. Na pewno dużo bardziej ubogi niż jest obecnie, to moje wyobrażenie. I tak to się zaczęło, że po prostu chciałem tę swoją ciekawość zaspokoić. Myślałem, że ona się wyczerpie wcześniej znacznie, ale okazywało się, że w miarę odkrywania kolejnych informacji, odkrywały się kolejne wątki, jakieś perspektywy, nie tylko polonijno-amerykańskie, nie tylko muzyczne, ale także właśnie związane ze sztukami wizualnymi, z literaturą, z polityką, z historią. No i tak to trwało.

MAGDALENA MISZEWSKA: **Jednak Stanley Tolkin był dosyć wyjątkowy na tle tej całej Polonii zajmującej się, powiedzmy, tego typu inicjatywami. On w swoich barach otworzył się na Amerykanów, nie organizował imprez typowo polonijnych. Tam spotykali się muzycy, spotykali się początkujący artyści, którzy potem zyskali światową sławę, spotykali się afroamerykańscy literaci, którzy nie mogli sobie wtedy w Nowym Jorku znaleźć łatwo własnego miejsca. Jak to się stało, że taki jeden Stanley, który trochę od tej Polonii się odłączył, ten jego klub stał się domem dla tych wszystkich ludzi? Czy on w ogóle w jakikolwiek sposób wykazywał z tego, co udało ci się dowiedzieć, jakieś zainteresowania tego typu muzyką? Czy on słuchał tych muzyków, czy po prostu postanowił, że ich będzie do siebie zapraszał? Czy jemu się autentycznie prace tych artystów podobały, czy widział w nich jakiś potencjał, czy po prostu się z nimi przyjaźnił?**

JAN BŁASZCZAK: Rzeczywiście Stanley wyróżniał się na tle amerykańskiej Polonii. On też, jakby, nie czuł się absolutnie związany z Polonią. Znaczą, on mówił głównie po angielsku, on miał swój biznes, swoich ludzi wokół i na tym się koncentrował, chociaż nie jest jedynym reprezentantem Polonii amerykańskiej, otwartym na współpracę z młodymi Amerykanami, o którym piszę w swojej książce. Co podobało mi się w Stanleyu, to jest to, że on łączył w sobie jakąś taką naprawdę dużą wrażliwość, poczucie solidarności z działającymi na marginesie artystami, z wykluczonymi, a z drugiej strony on rzeczywiście nie tracił z pola widzenia tego,

że on ma pieniądze do zarobienia, że prowadzi biznes. Te dwa podejścia absolutnie się nie wykluczały. Wręcz przeciwnie, jakby, Stanley zauważył, że na Lower East Side jest coraz mniej Polonii i może już teraz w mniejszym stopniu, ale kiedyś rzeczywiście ten profil narodowościowy dzielnic zmieniał się bardzo regularnie. No i przyszedł czas na Polonię, której zaczęło ubywać na Lower East Side, chociaż wciąż jest tam ich sporo, a zaczęli sprowadzać się tam młodzi artyści, których nęciły m. in. niskie czynsze. I Stanley się na nich otworzył, no bo to też był pomysł dobry na biznes, co pokazuje przykład Greenpointu. Teraz gdzieś zachodzi od lat bardzo podobny proces, to znaczy prowadzący biznesy jakieś kulturalne, ale nie tylko Polonusi widzą odpływ Polonii z Greenpointu, a przyływ, jakby bogatych Amerykanów, nie tylko młodych, i otwierają się na nich, no bo w tym widzą jakąś szansę na kontynuowanie biznesu.

MAGDALENA MISZEWSKA: I to jest klub Warsaw, który właśnie też mieści się w Polskim Domu Narodowym. Ja bardzo żałowałam, czytając książkę, że właściciel klubu Warsaw nie nazywa się Stanley, bo byłby trzecim Stanleyem, bo po drodze, po śledzeniu Stanleya Tolkiena, trafiasz jeszcze na jednego Stanleya, który również miał swój udział w tworzeniu tej nowojorskiej kontrkultury.

JAN BŁASZCZAK: Tak. I jeszcze wracając do twojego poprzedniego pytania, to rzeczywiście, Stanley nie był jakimś takim kawiarnianym intelektualistą, nie wywodził się z elit, miał pochodzenie robotnicze, nie był moim książkowym na pewno, więc on na pewno nie wnikał tak głęboko w to, co się wydarzało w jego lokalach. On na pewno lubił bluesa i muzykę jazzową. To z pewnością, bo od samego początku taka muzyka w tych jego lokalach była grana, także z płyt, i właśnie wielu moich rozmówców, Afroamerykanów, właśnie śmiało się, że to im rzeczywiście jakoś bardzo dziwnie się poskładało, że np. oni poznali, kim jest Miles Davis, właśnie w barze polskiego pięćdziesięciolatka już prawie, bo tam te płyty często były puszczane. Ale no nie sądzę, żeby Tolkien analizował prace, nie wiem, Anne Waldman czy malarstwo Boba Dawsona. Na pewno tak nie było. Stanley był też po prostu osobą o dużej wrażliwości na wszelkiego rodzaju nierówności. I no taka wrażliwość no nie potrzebuje zaplecza intelektualnego.

MAGDALENA MISZEWSKA: Ale pod jego okiem i uchem działały się rzeczy niemalże wywrotowe. Powstawały bardzo lewicowe gazety i spotykali się tam walczący z segregacją rasową Afroamerykanie.

JAN BŁASZCZAK: Ten radykalizm był obecny na wielu poziomach i z jednej strony na takim społeczno-politycznym, bo do Afroamerykanów walczących o swoje prawa, ale też afroamerykańskich nacjonalistów, bo trzeba to powiedzieć, można dołączyć przecież również pacyfistów i kontrkulturowców, hippis, no różne ruchy walczące czy to o zakończenie wojny w Wietnamie, często walczące w sposób taki prawie że zbrojny. Pojawiali się tam ludzie, którzy walczyli z rynkiem sztuki, pojawiali się też radykałowie właśnie estetyczni, powiedzmy, artystyczni, których pomysł na sztukę był często no niezwykle radykalny, zaskakujący, ekstrawagancki i to też tłumaczy fakt, dlaczego wielu z nich tak naprawdę nie udało się zaistnieć tak, powiedzmy, szerzej na rynku sztuki, bo te ich pomysły były bardzo trudne w odbiorze. Dość przypomnieć też Aldo Tambelliniego, malarza, który ze względów właśnie polityczno-historycznych zdecydował się, że wszystkie jego obrazy będą czarne. Chociaż jego

wczesne prace były dużo bliższe, jakby, takiemu konwencjonalnemu malarstwu, to on bardzo wczesnie zaczął malować takie czarne koła i jakieś różne czarne kształty na ciemnym tle. I no to są trudne rzeczy, ale to była jakaś taka bardzo świadoma decyzja polityczna, powiedzmy, historyczna. Tam takich postaci było rzeczywiście sporo. Takim najgłośniejszym nazwiskiem, osobą, której Stanley na pewno zawdzięczał w największej mierze popularność, był oczywiście Andy Warhol, którego sztuka z jednej strony była wywrotowa w pewnym sensie, a z drugiej strony była absolutnie komercyjna i która przyciągała cały ten biznes kręcący się wokół sztuki, która, jakby, miała, pewnie powiedzielibyśmy, mocne doświadczenia z reklamą tak naprawdę, no chociażby zupy Campbella słynne, która była nienawiedzona przez dużą część tego radykalnego środowiska, sama w sobie będąc w jakimś sensie no dość radykalną propozycją.

MAGDALENA MISZEWSKA: Mimo tego, że wtedy, kiedy istniał, klub The Dom był miejscem popularnym, Stanley Tolkin nie zapisał się jakoś specjalnie w historii. Odnalezienie informacji o nim było trudne, piszesz o tym w książce. I w zasadzie pamięć o nim żywa była tylko wśród jego gości, z którymi spotykałeś się, którym pozwalałeś wrócić wspomnieniami do lat młodości. Jak oni zapamiętali Stanleya?

JAN BŁASZCZAK: Rzeczywiście tych informacji o Stanleyu jest niezwykle mało, zaskakująco mało, biorąc pod uwagę, że nazwa The Dom pojawia się jednak od czasu do czasu w literaturze tamtego okresu. Chociażby nie dalej niż wczoraj przeglądałem nowe wydanie, reedycję płyty White Light/White Heat zespołu Velvet Underground i tam też jest, jakby, w nim mowa o klubie The Dom. Ale o Stanleyu tych informacji jest bardzo mało. Oni zapamiętali Stanleya z jednej strony jako osobę bardzo otwartą, bardzo solidarną, ale też skrytą, milczącą, nawet jeżeli rozmawiającą z nimi, to na takie tematy właśnie doraźne, dotyczące, jakby, funkcjonowania klubu. On był na pewno uprzejmy, ale nie był osobą, która opowiadałaby zbyt wiele o sobie, o swoim życiu prywatnym, o swoich poglądach, o swoich przemyśleniach, swoich problemach. Raczej był osobą bardzo zamkniętą, też bardzo skupioną na swojej pracy. Był bez wątpienia pracoholikiem, który kończył robotę o czwartej w nocy dzień w dzień i którego praca, no chyba można powiedzieć w pewnym skrócie, oczywiście, i uproszczeniu, którego ta praca zabiła po prostu w wieku lat 50. To też mówię ku przestrodze, bo Stanley rzeczywiście nie miał żadnych innych nałogów poza pracą, która zajmowała mu i bardzo dużo czasu, i bardzo dużo energii, bardzo dużo nerwów na pewno. Był osobą, która potrafiła nie tylko postawić piwo, ale pożyczyć pieniądze swoim zaprzyjaźnionym klientom, potrafił dać pracę stałym bywalcom i, jakby, zapewnić pomoc najważniejszą. A z drugiej strony, w momencie takiego egzekwowania jakichś należności związanych, jakby, już nie ze swoimi bliskimi, z jakimiś niewielkimi kwotami, ale jeżeli chodzi o takie prowadzenie biznesu na poważnym takim poziomie, to potrafił być bezwzględny, potrafił być bardzo surowy, twardo stąpający po ziemi, nie dopuszczając do tego, żeby w jego lokalach dochodziło do żadnych awantur. Sam, jakby, dawał zgodę na to, że jego ochroniarze, jakby, z całą stanowczością takie zażądki, powiedzmy, awantur sprowadzali do parteru i robili to czasem w sposób naprawdę bardzo agresywny, bardzo brutalny.

MAGDALENA MISZEWSKA: A czy ze względu na to, że on był właśnie taki raczej skryty i niewiele informacji po nim pozostało, myślisz, że nie ma żadnych szans na jakiś film np. taki, jak o menedżerze CBGB?

JAN BŁASZCZAK: No to oczywiście byłoby bardzo interesujące i wydaje mi się, że Stanley ma

taki sznyt filmowy w pewnym sensie. Bo on ani nie wyglądał jak biznesman, ani się tak nie zachowywał, co też mogłoby być ciekawe, bo rzeczywiście on się na tle tej swojej klienteli bardzo mocno wyróżniał. No wydaje mi się, że skoro powstał film o Hilly Kristalu, mógłby spokojnie powstać film o Stanleyu Tolkienie. Ja najpierw będę próbował, na tyle, na ile mam, jakby, coś tutaj do powiedzenia, zabiegać o to, żeby jednak powstało tłumaczenie tej książki na język angielski, choćby ze względu na tych wszystkich wspaniałych ludzi, którzy pomagali mi przy pracy nad tą książką, którym już, części z nich, wysłałem tę książkę w języku polskim jako takie "dziękuję", ale wiem, że oni z tą książką nic nie zrobią, poza tym, że położą ją na półce, więc mam nadzieję, że takie tłumaczenie się kiedyś ukaże i to na pewno byłby jakiś krok w dobrą stronę.

MAGDALENA MISZEWSKA: A kiedy spacerowałeś po Nowym Jorku śladami Stanleya Tolkiena i gości jego lokali, czy on bardzo się różnił od tego, co od tych gości usłyszałeś wcześniej, o tej atmosferze lat 60.? Czy udało ci się znaleźć jakieś takie miejsca, które jeszcze gdzieś tam ten ślad przeszłości w sobie mają?

JAN BŁASZCZAK: Nowy Jork zmienił się bardzo i to rzeczywiście było takie bardzo ciekawe doświadczenie, właśnie podróżować ulicami Nowego Jorku, współczesnego oczywiście, i słuchać opowieści dzisiaj od siedemdziesięcio-, osiemdziesięciolatków właśnie w Nowym Jorku sprzed 50 lat. I te miasta, jakby, no to absolutnie się nie zgrywają. Oczywiście to, co teraz zrobię, to będzie jakaś taka hiperbola, może naganna, ale to jest trochę tak, jakby rozmawiać o, nie wiem, o przedwojennej Warszawie, chodząc dzisiaj po centrum miasta. To miasto zmieniło się pod każdym względem, może nie aż tak drastycznie oczywiście, jak Warszawa, też nie tak bardzo pewnie pod względem architektonicznym, bo to już wtedy było miasto wysokich budynków, ale jeżeli chodzi o sprawy takie finansowe, ale też kulturowe, to zmieniło się dramatycznie. I takich miejsc, które kontynuowałyby pamięć po tamtych wydarzeniach, po tamtych środowiskach jest bardzo mało, a już naprawdę ze świecą ich szukać na samym Manhattanie, który jest miejscem po prostu straszliwie drogim. Być może klub The Stone Johna Zorna to jest takie miejsce na Lower East Side, gdzie wciąż udaje się im płacić rachunki i organizować koncerty, zaczynając od takich koncertów zbiórkowych co miesiąc na opłaty właśnie wynajmu. Ale naprawdę, biorąc pod uwagę to, co się dzieje w Warszawie, no to my się naprawdę nie mamy czego wstydzić. Porównując taką, powiedzmy, bardziej niezależną sztukę, muzykę, literaturę, to naprawdę Nowy Jork jest miastem tak drogim, że początkujący artyści no nie mają tam czego szukać, tak naprawdę.

MAGDALENA MISZEWSKA: I przechadzając się po Nowym Jorku zajrzałeś też do klubu Warsaw, o którym wspominaliśmy. Czy jego właściciele słyszeli o Stanleyu Tolkienie?

JAN BŁASZCZAK: Nie, nie. Wiedzieli rzeczywiście o tym, że istniał Narodowy Dom Polski na St. Marks Place, na Lower East Side, ale o Tolkienie... W zasadzie z Polonią, rozmawiałem także z pracownikami Instytutu Polskiego w Nowym Jorku, rozmawiałem z pracownikami konsulatu, którzy byli bardzo pomocni, ale tej wiedzy nie mieli. Wydaje mi się, że Stanley po prostu funkcjonował trochę pomiędzy. Znacząco, dla Polonii był bardziej Amerykaninem, dla Amerykanów był Polakiem. Więc tych informacji rzeczywiście nie znalazłem także w klubie Warsaw, do którego zachęcam, żeby to miejsce odwiedzić, bo ono właśnie znalazło taki,

wydaje mi się, złoty środek pomiędzy właśnie prowadzeniem działalności takiej społecznej, propolonijnej, która wciąż tam się odbywa, a zapraszaniem no naprawdę tysięcy hipsterów, którzy przychodzą tam na koncerty najgłośniejszych amerykańskich i nie tylko amerykańskich zespołów, bo takie na Greenpointcie w klubie Warsaw zdecydowanie bywają.

MAGDALENA MISZEWSKA: Czy składając gotową książkę w Wydawnictwie Czarne żałowałeś, że czegoś się nie dowiedziałeś, z kimś nie porozmawiałeś? Jest coś, co jeszcze w tej historii chciałbyś dokończyć?

JAN BŁASZCZAK: Na pewno było wiele takich nazwisk, wiele postaci, do których próbowałem dotrzeć, począwszy od syna Stanleya Tolkina, który zmarł chyba miesiąc temu, poprzez wielu muzyków, artystów, którzy tam się pojawiali. Z niektórymi z nich udało mi się wymienić tylko jakieś bardzo przelotne, krótkie informacje, a na pewno wolałbym przeprowadzić jakiś taki głębszy wywiad, ale to po prostu nie było możliwe z różnych powodów. Więc może nawet nie tyle tematycznie, bo wydaje mi się, że ta książka jest i tak bardzo, powiedzmy, mało linearna i tutaj, jakby, jestem usatysfakcjonowany ilością tych wątków, które udało mi się w nią wpleść. Wydaje mi się, że ona mogłaby się rozpaść, gdybym jeszcze tam np. napisał więcej o Wietnamie chociażby. Ale oczywiście tych nazwisk jest wiele i tych postaci wspaniałych pojawiało się na Lower East Side w klubach Stanleya bardzo wiele. Ja rozmawiałem też bardzo krótko przez telefon z Cecilem Taylorem, który kazał mi do siebie napisać list, co robiłem po raz pierwszy chyba od, nie wiem, 15 lat podejrzewam, ale niestety nie doczekałem się odpowiedzi. Cecil Taylor zmarł też niedawno. No niewątpliwie jeden z najwybitniejszych, najciekawszych jazzowych pianistów w historii. Więc takich nazwisk na pewno jest sporo, ale no mam nadzieję, że i bez nich ta opowieść pokazuje bogactwo, jakiś ferment, który odbywał się, to wszystko, co buzowało w lokalach Tolkina w latach 60.

MAGDALENA MISZEWSKA: Materiał przygotowała Magdalena Miszewska.

LEKTOR: Audycje Kulturalne – w dobrym tonie.